

„Mędrcy ze Wschodu”

4 stycznia 2026

W niedzielę rano staliśmy podekscytowani na dworcu w Lublinie. Kiedy rok temu ksiądz Grzegorz Brudny, proboszcz naszej lubelskiej parafii, powiedział nam o propozycji wyjazdu na epifanijne wędrowanie w Sudetach, które organizowali Diecezjalni Duszpasterze Młodzieży: ks. Marek Bożek z Wałbrzycha i ks. Sebastian Madejski z Warszawy, od razu to do mnie przemówiło. Dlaczego? Muszę przyznać, że przez większość życia nie obchodziłam jakoś szczególnie Święta Epifanii. Kojarzyło mi się głównie z ostatnim dniem wolności przed powrotem do szkoły, a potem z dniem wolnym od zajęć na studiach. Zwykle chodziło się do kościoła, ale, dla małej mnie, niewiele różniło się to od zwykłej niedzieli. Z czasem jednak zaczęłam się zastanawiać: co tak ważnego jest w tym Święcie, że jest jednym z najdłużej obchodzonych chrześcijańskich Świąt? A jak można lepiej poczuć o co chodzi w Święcie, w którym wspominamy wędrujących ze Wschodu Mędrców, niż samemu wyruszyć na zachód? Dzięki temu wyjazdowi rzeczywiście to Święto stało mi się dużo bliższe. Także ze względu na dobre i niezapomniane doświadczenia z poprzedniego roku, wiedziałam, że jeżeli nadarzy się okazja, to pojadę i w tym roku.

Wyruszyło nas z Lublina ostatecznie siedmioro. W większości dobrze się znaliśmy, więc wielogodzinna podróż pociągami minęła nam w miłej atmosferze na graniu w Uno, rozwiązywaniu krzyżówek, a niektórym także na nauce. W pociągu dowiedzieliśmy się, że w stolicy dosiada się do nas koledzy i koleżanki z Warszawy. Było to dla nas miłym zaskoczeniem, bo w zeszłym roku tylko my ruszaliśmy na to wędrowanie połączone z kolędowaniem.

Po tym jak wysiedliśmy na dworcu w Wałbrzychu, przyjechali po nas tutejsi parafianie, aby podwieźć nas do schroniska - „Andrzejówki”. Tego dnia w „Andrzejówce” odbywała się VII edycja „Górskiego kolędowania”. W tym roku wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Wałbrzych”.

Gdy goście zaczęli się rozchodzić zjedliśmy kolację, a zaraz po tym poinformowano nas, że na dworze czeka na nas jeszcze ognisko i kielbaski. Ja akurat kielbasek nie jadłam, ale ognisko w tak mroźny dzień wydawało mi się wielce atrakcyjne. Skupiałam się więc na chłonięciu aury ogniska i na pięknym nocnym niebie.

Gdy już każdy chętny spałaszował kielbaski, ogień zaczął wygasać, a rozmowy cichnąć, nasz główny organizator, ksiądz Marek Bożek, ogłosił, że również w tym roku będzie możliwość skorzystania z znajdującej się na zewnątrz sauny. Ja osobiście jestem istotą ciepłolubną, więc o ile sauna brzmi w moich uszach w porządku, to przejście w kostiumie kąpielowym po śniegu w tę i w tę już brzmi zdecydowanie mniej okej. Zdecydowałam więc z koleżankami, że zostanie w pokoju też brzmi całkiem fajnie. Jednak z pewnych i licznych źródeł wiem, że, dla zdecydowanych, wyjście do sauny nie było rozczarowaniem.

5 stycznia 2026

Następnego ranka po śniadaniu mieliśmy spotkanie prowadzone przez księdza Sebastiana Madejskiego z Warszawy. Wspólnie śpiewaliśmy, ksiądz Sebastian grał na gitarze, a ksiądz Marek na bongosie. Gdy już wyżyliśmy się artystycznie, ksiądz Sebastian przeczytał nam fragmenty Pisma Świętego i podzielił się krótkim rozważaniem. Było bardzo ciekawe, najbardziej zapadło mi w pamięć podkreślenie, że można być wybawionym od czegoś, ale zbawionym jest się do czegoś. Bardzo mi to dało do myślenia. Może rzeczywiście zbyt często w kontekście zbawienia szukamy bardziej wyrwania się z obecnej sytuacji niż dojścia do Boga?

Na koniec mieliśmy się po kolei krótko przedstawić. Okazało się, że poza Lublinem i Warszawą mieliśmy towarzyszy również z innych miejsc, chociażby z Radomia, Łodzi, Krakowa, Wrocławia czy Cieszyna. Jako, że miał być to wyjazd dla studentów i młodzieży pracującej większość okazała się być studentami, choć były też osoby ze szkół średnich oraz takie które nie tak dawno

skończyły studia (do której to grupy sama się zaliczam). Ciekawa była różnorodność naszych zainteresowań, od studentów nauk humanistycznych, takich jak teologia, do studentów nauk ścisłych, takich jak medycyna.

Po spotkaniu zostaliśmy zaproszeni na dwa ciekawe wykłady: jeden o „Andrzejówce”, a drugi o górach Rumunii. Z wykładów dowiedzieliśmy się dużo ciekawych rzeczy o historii tego schroniska i ludzi, którzy pracowali na jego rzecz. Dowiedzieliśmy się również, co obecnie jest tu robione i o planach względem „Andrzejówki” na przyszłość. W Rumuńskich górach nigdy nie byłam, ale wykład zdecydowanie pokazał nam, jak piękne są to tereny, oraz, że sama Rumunia ma dużo więcej do zaoferowania niż krwawe historie o Drakuli:)

Wczesnym popołudniem ruszyliśmy na górskie wędrowanie. Pogoda nam naprawdę dopisała, niebo było czyste, błękitne, słońce świeciło, a mróz szczypał policzki. Śniegu było dużo, a im wyżej byliśmy, tym iglaste gałęzie drzew niżej pochylały się ku ziemi od ciężącego na nich śniegu. Poprzedniego wieczoru zaczęłam czytać książkę „Pierwsze kroki - jak staliśmy się ludźmi” Jeremiego DeSilvy. Na początku pierwszego rozdziału jest przytoczona wypowiedź Paula Solopka z 2013 roku: „Chodzenie to upadanie w przód. Każdy krok jest przerywanym nurkowaniem, powstrzymanym upadkiem, zażegnaną katastrofą. W ten sposób chodzenie staje się aktem wiary”. Bardzo mnie to poruszyło. Nigdy nie myślałam o tym, że każdy krok jest upadkiem zażegnanym tylko tym, że wysuwamy na przód drugą nogę. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej samo chodzenie wydawało mi się coraz bardziej niesamowitą i niebezpieczną czynnością, a co dopiero chodzenie przy stromych, ośnieżonych górskich zboczach.

Wszyscy zdobyliśmy szczyt Gór Kamiennych - Waligórę (936 m.n.p.m.), a dla chętnych możliwe było również zobaczenie ruin starej owczarni i zdobycie Suchawy (928 m.n.p.m). Na Suchawę wchodziliśmy już w okrojonym składzie, droga była bardzo stroma, a cisza wręcz hipnotyzująca. Powoli opuszczające się na horyzoncie słońce malowało szczyty drzew na pomarańczowo. Piękny widok.

Po powrocie do schroniska zjedliśmy obiad. Z dziewczynami z pokoju jednogłośnie stwierdziliśmy, że to idealny czas na drzemkę. Zwłaszcza, że zapowiedziano nam wieczorne saneczkowe zawody, a na takie atrakcje trzeba zebrać energię, by godnie reprezentować naszą lubelską ojcowiznę.

Wieczorem, ubrani na cebulki, kształtem przypominający bardziej ludzika Michelin, niż istotę ludzką, wyruszyliśmy na górkę saneczkową. Przez pewien czas zjeżdżaliśmy indywidualnie na jabłuszkach szykując się mentalnie do właściwych konkurencji. Konkurencje były dwie: na najszybszy i najdłuższy zjazd. Najszybszym zjazdem mógł się pochwalić ksiądz Marek, a najdłuższym zjazdem Jonasz. Osobiście też jestem zadowolona ze swoich zjazdów, najbardziej z tego, że wciąż żyję. Po wszystkim wypiliśmy kakao, bo co to za wyjazd zimą w góry bez delektowania się kubkiem kakao czy gorącej czekolady.

Wieczorne spotkanie prowadził ksiądz Grzegorz. Tym razem to on grał na gitarze, a ksiądz Marek pozostał przy bongosach. Po śpiewaniu ksiądz Brudny przeczytał nam znaną wszystkim historię o Noem i Arce. Podzielił się z nami rozważaniem o tym, jak Arka, czyli relacja z Bogiem, staje się nie tylko ratunkiem, ale także schronieniem przed złem tego świata. Poprosił też, abyśmy się zastanowili, co jest takim potopem w naszym życiu i pamiętali, że niezależnie co to jest możemy szukać schronienia w naszej Arce, którą jest Jezus Chrystus. Następnie zostaliśmy podzieleni na grupy i dostaliśmy karteczki z różnymi hasłami: od wiary i miłości po pieniądze i kontrolę. Mieliśmy za zadanie odrzucić pięć rzeczy, których nie będziemy mogli zabrać na Arkę. Było zabawnie, bo rozgorzały długie dyskusje, na ile dosłownie mamy rozumieć tę „Arkę”. Pieniądze było łatwo uznać za zbędne, bo w duchowej Arce, a już tym bardziej w zwykłej Arce wydały się mało przydatne, ale z czasem wybory były coraz trudniejsze. Po zakończeniu wyzwania, przedstawieniu i wyjaśnieniu naszych decyzji, zakończyliśmy spotkanie modlitwą.

Zaczął się czas wolny. Również tego wieczoru entuzjaści sauny mogli się powygrzewać w zimowej scenerii. Wszyscy późnym wieczorem spotykali się w pokojach by pograć w planszówki. Było bardzo zabawnie.

6 stycznia 2026

Rano po śniadaniu wyruszyliśmy samochodami na nabożeństwo do kościoła w Wałbrzychu. Muszę przyznać, że Wałbrzyski kościół Zbawiciela robi na mnie duże wrażenie, jest zdecydowanie jednym z najpiękniejszych kościołów ewangelickich w jakich byłam.

Podczas nabożeństwa znów wróciliśmy do historii tytułowej tego wyjazdu. Do Mędrców ze Wschodu. Ta historia zawsze była dla mnie świadectwem ogromnej wiary. Ci ludzie ruszyli w długą podróż, nie mając żadnej gwarancji, że zakończy się ona sukcesem. Jednak podczas tego wyjazdu dostrzegłam jeszcze jedną, poruszającą rzecz: jak bardzo nierozdzielna jest ta historia z opowieścią o pasterzach czuwających w polu. Zawsze myślałam, że te historie to tylko obraz tego, jak Bóg nikogo nie odrzuca, jak status człowieka nie gra u niego żadnej roli. Potem jednak zaczęłam się zastanawiać, jak różne były doświadczenia tych ludzi. Jedni podróżowali długo, być może miesiącami czy latami ze wschodu na zachód, a drudzy paśli swoje stada w pobliżu Betlejem, więc byli praktycznie na miejscu. Po namyśle doszłam do wniosku, że jest to również obraz tego, jak Bóg nie daje nam zadań ponad nasze siły i zasoby. Pastuszkowie nie mieliby pieniędzy na taką podróż, ani czasu i wiedzy by analizować gwiazdy i przepowiednie. Dla nich dużym aktem wiary było już samo porzucenie stad, stanowiących ich źródło utrzymania, i ruszenie do Betlejem. „Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie” Łk 12,48. Myślę, że nie da się powiedzieć, że poprzeczka dla Mędrców była postawiona wyżej, oni po prostu jakby „grali w innej lidze”.

Po nabożeństwie tutejsi parafianie wręczyli swojemu organizmowi Maciejowi Skrzypczykowi prezenty w dowód wdzięczności za jego trzydziestoletnią służbę. Był to bardzo poruszający moment.

Następnie zostaliśmy zaproszeni na herbatę i ciastka przez wałbrzyskich parafian do sali parafialnej. Po wielu przemyślnych rozmowach i interakcjach, ksiądz Marek zarządził, że czas ruszać. Plan był taki, że zwiedzimy Wałbrzych dołączając do Orszaku Trzech Króli, który ruszał spod katolickiego kościoła Aniołów Stróżów. Przed wyżej wspomnianym kościołem chodziło kilka osób rozdając papierowe korony, więc wkrótce ciężko było policzyć ile królów brało udział w tym marszu, ale na pewno nie trzech. Maszerowaliśmy ulicami Wałbrzycha, aż doszliśmy do sceny, gdzie miały miejsce występy dzieci. Część z nas została by obejrzeć całość występów, a część ruszyła już na obiad. Mieliśmy zarezerwowany stolik w pobliskiej pizzerii. Gdy wszyscy się już najedli do syta, ruszyliśmy na wycieczkę na jeden z wałbrzyskich punktów widokowych. Tym widokiem Wałbrzycha z góry oficjalnie zakończyliśmy nasz wyjazd. Pożegnaliśmy się z nowymi znajomymi i ruszyliśmy niczym Mędrcy w kolejną podróż. Tym razem do domu.

Dla mnie był to bardzo owocny wyjazd, pełen wrażeń, przemyśleń i nowo poznanych ludzi. Każdy z nas codziennie stara się iść z wiarą przez życie, a Bóg czasem zsyła na naszą drogę takie Arki, żebyśmy mogli odetchnąć, i przypomina, że Zbawienie nie jest ucieczką od świata, to podróż do Boga.

Mam głęboką nadzieję, że znów zobaczymy się za rok.

Lek. wet. Katarzyna Kasprzak